ECHO z AFRYKI



U stóp ołtarza przysiągłem Jej !

CZASOPISMO ILUSTROWANE
DLA POPIERANIA MISJI KATOLICKICH w AFRYCE

Rok XLVII — Nr. 5 MAJ 1939

ECHO Z AFRYKI

katolickie ilustrowane czasopismo misyjne, błogosławione przez Papieży Leona XIII, Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI, wychodzi w rozmaitych językach.

Wydawca: Sodalicja Klaweriańska w Krośnie.

Cena: rocznie 2 zł., 2 M., 60 am. cts. Ofiary na misje afrykańskie można przesyłać do podanych poniżej filii, albo wprost do Generalnej Kierowniczki Sodalicji Klaweriańskiej w **Rzymie**, Roma (123), via dell'Olmata 16.

Adresy filii i biur Sodalicji Klaweriańskiej :

Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — **Kraków,** ul. św. Marka 25. — **Poznań,** ul. św. Józefa 9, m. 5. — **Krosno** (woj. lwowskie). — **Wilno,** ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — **Częstochowa,** aleje Najśw. Marii Panny 79. — **Lwów,** p. Kazimiera Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11 a. — **Kielce,** p. Maria Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. — **Gniezno,** p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — **Bielsko,** ul. Piłsudskiego 7. — **Ostrów Pozn.,** p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — **Łowicz,** p. Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17.

Numer konta P. K. O.: „Echo z Afryki", miesięcznik: **Warszawa 1.188** — **Kraków 410.756** — **Poznań 200.015** — **Krosno 411.222** — **Wilno 701.217**

Sodalicja św. Piotra Klawera

Sodalicja św. Piotra Klawera jest to Instytut żeński, zatwierdzony przez Ojca Świętego Piusa X. Zadaniem Sodalicji jest niesienie pomocy misjom całej Afryki. Sodalicja Klaweriańska jest jakoby armią pomocniczą, dostarczającą broni i żywności żołnierzom, walczącym na froncie.

Jeden z naszych Czytelników z L. podał do Związku Mszalnego następujące osoby:

† Ojca św. Piusa XI, Achillesa Ratti. — **† ks. Kardynała Aleks. Kakowskiego.** — **† ks. Arcyb. Józefa Teodorówicza.** — **† ks. Gerarda Szmidta.** — **† Romana Dmowskiego.**

---

† Memento za Zmarłych.

O. Gaudin, M. L., Lome (Togo). — **S. M. Franciszka Piccini,** z Sióstr Tercjarek Franciszkanek Elżbietanek Negade, Górny Egipt.

Wanda Grochowska, dożywotnia zelatorka, prenumeratorka i dobrodziejka misyjna, zasnęła w Panu dnia 2 marca r. b.

Ks. Proboszcz Edmund Klitsche. — Ks. Ludwik Sperczyński. — Tadeusz Pletnia. — Katarzyna Kowalczyk. Maria Hołomek. — Anna Krzosek. — Stefania Paczuska. — Maria Grześkiewicz, — Anna Środowa. — Weronika Lipińska. — Anastazja Zielińska. - M. Danielowa. — Józefa Turkowa. — Maria Kuźma. — Marianna Sztybkówna.

Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie !



Królowo Apostołów — módl się za nami!

Być apostołem, cóż to znaczy?

To znaczy być w y b r a n y m przez Chrystusa w niepojętym wprost upodobaniu i miłości. „Nie wyście mnie obrali, alem ja was obrał (Jan 15, 16). Nie będę zwał was więcej sługami, ale przyjaciółmi (Jan 15, 15)".

Być apostołem, to znaczy być p o s ł a n y m przez Chrystusa, aby Chrystusa głosić i nieść światu. „Tak jak mnie posłał Ojciec, i ja posyłam was (Jan 20, 21)."

Być apostołem, to znaczy w końcu c i e r p i e ć dla Chrystusa. Św. Paweł tak opisuje Koryntianom swe życie na misjach: „My głupi dla Chrystusa... tułamy się, prześladowanie cierpimy, a znosimy (I Kor· 4, 10-12)".

Oto myśli, z jakimi każdego roku wstępujemy w miesiąc Matki Najświętszej, w miesiąc maj. Boć pierwszy dzień maja jest uroczystością apostoła, pierwsza msza św. odprawiana na kwieciem przystrojonym ołtarzu „majowym", jest msza św. ku czci apostoła. Na pierwszy rzut oka — to przypadek, prosty zbieg okoliczności, w rzeczywistości natomiast zrządzenie Opatrzności Bożej o głębokim znaczeniu, bo u Boga nie ma przypadków.

Maria i apostolstwo, życie Marii i działalność mi-

syjna — to, zda się, dwa zupełnie przeciwne sobie światy! A jednak Ją właśnie, tę ukrytą, pokorną, nieznaną Służebnicę, pozdrawia Kościół codziennie przez cały maj nie jako pomocnicę, nie jako następczynię, lecz jako „Królowę Apostołów". I słusznie. To prawda, że Maria nie mówi kazań, Maria nie występuje jako przewodniczka, Maria nie wyrusza w dalekie kraje, a jednak mimo to cechują życie jej z niedoścignioną doskonałością owe trzy warunki, które życie ludzkie kształtują na życie apostolskie: wybranie, posłannictwo, cierpienie.

Cóż bowiem jest wybranie i godność apostoła w porównaniu z godnością i łaską Macierzyństwa Bożego pokornej Dziewicy z Nazaretu? I Ona została wybrana, ale nie z grzechu do łaski, bo Ona „pełna łaski" — Niepokalanie Poczęta! Wybranie to jedyne w swoim rodzaju, nie na przyjaciółkę, ale na Matkę Boga: *Królowo Apostołów, bądź pozdrowiona!*

Cóż znaczą dalej wszystkie najwymowniejsze nauki i kazania misyjne wobec prostych słów Marii: „Oto, ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twojego!?" Co apostołom i misjonarzom zwiastować dano, to musiała Maria przez swoje „Fiat" wpierw dać światu: *Królowo Apostołów, bądź pozdrowiona!*

Ale i Królowa Apostołów nie mogła dokonać swego apostolskiego zadania bez cierpienia. Kiedy Jezus zawisł na krzyżu, by dopełnić swej krwawej ofiary za zbawienie świata, wtedy to Maria stała pod krzyżem i w niekrwawy sposób ofiarowywała razem z Nim; składała w ofierze więcej niż jakikolwiek apostół i misjonarz złożył w ofierze na ratunek dusz; jedynego ukochanego niewinnego Syna. *Królowo Apostołów, bądź pozdrowiona!*

Nie bez głębokiego znaczenia jest też zapewne ten szczegół, że ostatnim obrazem, jaki Pismo święte kreśli nam o Marii, ukazując nam ją jako Królowę Apostołów, jest: Matka Jezusowa modląca się w pośrodku Apostołów i uczniów Jezusa w czasie nowenny zielonoświątkowej. Macierzyńskie błogosławieństwo Marii towarzyszy tym pierwszym misjonarzom, wyruszającym na podbój świata, by wykonać misyjny rozkaz Mistrza.

Uczmy się od naszej Matki w niebie pracy apostolskiej, pracy misyjnej. W miesiącu maju uchwyćmy się silnie Jej ręki, wpatrzmy w Jej przykład. Otoczmy macierzyńską opieką tych, co opuściwszy wszystko, milionom, siedzącym w ciemnościach i cieniach śmierci, niosą Bożej oświaty kaganiec: wiarę. Przez Marię, Królowę Apostołów, do Jezusa, przez Marię do pogan!

Piękna Wielkanoc

Prefektura apostolska Kubango w Angoli.

List O. Józefa Sutter'a ze Zgrom. Ducha Świętego.

Dary, które nam przesłaliście, nadeszły właśnie na Wielkanoc. Nie mogły zjawić się bardziej w porę! — Kościół w Nova Lisboa jest prawie skończony, brak już tylko zewnętrznej wyprawy. Pierwszy raz otworzył swe bramy dla wiernych, spieszących na nabożeństwa wielkotygodniowe. Czarni robotnicy pracowali niezmordowanie, aby wykończyć wnętrze i postawić ołtarz. Przez cały Wielki Tydzień udział był bardzo liczny. Począwszy od Niedzieli Palmowej aż do pierwszego święta, słuchałem spowiedzi św. codziennie od 5½ rano do 7½ wieczorem z jedyną przerwą, gdy czas było odprawić mszę św. i w południe zjeść obiad. Musiałem spowiadać nawet w pierwsze święto wieczorem i nazajutrz. Nabożeństwo było solenne, msza św. była śpiewana. Nasi Czarni bardzo lubią śpiew liturgiczny. Umieją na pamięć *Kyrie, Gloria, Credo, Sanctus i Agnus Dei.* Śpiewają wszyscy uczestnicy. W Europie nie wyobrażacie sobie nawet, jak potężne wrażenie wywiera msza św. śpiewana przez 2.000 krajowców w doskonałej harmonii i z pobożnym weselem. Ołtarz był ubrany bardzo pięknie, gustownie a skromnie świeżymi kwiatami i gałązkami bananów. Lichtarze były trochę liche — świece pozatykano w butelki zasłonięte kwiatami. Ornatu nie mieliśmy innego, tylko ten, który był używany przy ołtarzu przenośnym.

— Mimo to jednak wszyscy byli zadowoleni i parafianie i misjonarz. Śmiem ufać, że i Pan Bóg w swej dobroci kontent był z tych puszczańskich dzieci. Msza św. wraz z rozdaniem komunii św. 1637 wiernym trwała trzy godziny. Przez cały ten czas dzielni Murzyni nie ustawali w śpiewie i w modlitwie. Po skończonej sumie odmówili głośno wszyscy razem akt dziękczynienia.

Jestem stary (mam 63 lata) i wyczerpany długoletnią pracą duszpasterską na misjach. Mam za sobą 37 lat Afryki. Staram się prowadzić dalej moje dzieło i zapewnić mu jak największą trwałość, a potem pójdę odpocząć u stóp Bożych i przy moim prefekcie apostolskim, ks. bisk. Keilingu, który mnie w to życie afrykańskie wtajemniczył. Zawsze z nim pracowałem od czasu, jak tylko zostałem misjonarzem ! Wszystko, jak Bóg zechce !

Nasze życie winno kręcić się nie koło ludzkich, lecz koło Bożych spraw.



Matko niebieskiego Pana,
Śliczna i niepokalana!

Uroczysty obchód mariański

Wikariat apostolski Buta (Kongo belgijskie).

O. Van Reeth — ze Zgrom. Premontratenzów.

Uroczystości jubileuszowe dwudziestopięciolecia Braci Marystów, uczących po szkołach wikariatu Buta, odbywały się od 22 listopada do 12 grudnia r. 1937, stanowiąc pasmo wielkiej radości tak dla Europejczyków jak i dla ludności miejscowej, której Bracia wyświadczyli tyle dobrego w tym pierwszym ćwierćwieczu spędzonym pośród niej. Jubileusz zakończył się 12 grudnia religijną manifestacją ku czci Najśw. Panny. We wspaniałym pochodzie — pierwszym tego rodzaju w Buta — niesiono figurę Matki Bożej i św. Józefa. Przedstawiciel władzy administracyjnej zalecił mieszkańcom, aby ozdobili ulice i domy i wywiesili chorągwie. Szczególnie pięknie przyozdobiono plac do zabaw w centrum miasta; powiewało tam przeszło 50 chorągwi. Wszystkie aleje umieciono starannie — żadnych liści, żadnych śmieci nie było na ziemi. Nawet niektóre gałęzie drzew poobcinano, aby zrobić miejsce na chorągwie. Na początku drogi i przy skrzyżowaniach stały piękne łuki triumfalne zdobne w kwiaty i chorągiewki. Na granicy każdego domostwa urządzono małe oryginalne kapliczki, całe w zieleni i w kwiatach. W każdej takiej kapliczce, majcej kształt niszy, stała na małym pięknie nakrytym stoliku jakaś figura święta lub obraz, a przed nimi wazon z różnobarwnymi kwiatami. Poganie zaś — zawsze oryginalni w pomysłach — przedmioty święte obrazy, figury, których nie posiadali, zastąpili plakatami reklamowymi, zachwalającymi np. mleko kondensowane,

różne środki odżywcze, biszkopty itp. Pan Jezus i Najświętsza Panienka zapewne nie pozostali nieczuli na widok dobrej woli poczciwych Murzynów. Może ona wyjedna im łaskę nawrócenia. Nigdy jeszcze miasto nasze nie widziało tak barwnych dekoracji ani tak radosnego nastroju.

O oznaczonej godzinie — 16, 30 — tysiąc czterysta chłopców i dziewczynek zgromadziło się klasami na wspomnianym już placu zabaw pod przewodnictwem Braci i Sióstr. Na czele procesji niesiono krzyż, który otaczali chłopcy kościelni. Następnie szły szkoły. Orkiestra szkolna grała uroczystego marsza, nadając rytm pochodowi. Każda grupa zorganizowana miała swój sztandar albo chorągiew: skauci, Krucjata Eucharystyczna, Dzieci Marii, Kółka Różańcowe itd. Figurę N. Marii Panny i figurę św. Józefa otaczała straż honorowa. Potem postępowała grupa aniołów i duchowieństwo z Jego Eks. ks. bisk. Vanuytven, wikariuszem apostolskim, w stroju pontyfikalnym. Gromada policjantów, szef miasta ze swą świtą, tłum chrześcijan i katechumenów zamykali pochód. Po obu stronach drogi mnóstwo ciekawych : pogan, Arabów, muzułmanów itd. patrzyło, jak poszczególne grupy defilują, śpiewając pieśni lub odmawiając różaniec. Na początku każdej dziesiątki wymieniano głośno specjalną intencję. Uroczysta ta defilada trwała przeszło dwie godziny. Brało w niej udział przeszło 2000 osób.

Doszedłszy z powrotem na plac zabaw, wszyscy uczestnicy ustawili się grupami we wzorowym porządku przed estradą, przygotowaną dla księdza Biskupa i jego asysty. Europejczycy w dość znacznej liczbie zatrzymali się tuż opodal tego zarezerwowanego miejsca. Skoro tylko ks. Biskup zasiadł na estradzie, kapela zaintonowała znaną pieśń z Lourdes: „Ave Maria". Tłum podchwycił zaraz melodię i zawtórował z zapałem. Echo śpiewu dochodziło aż do drogi królewskiej Kongo-Nil, a nawet do Buta.

Gdy tę pieśń maryjną skończono, ks. Biskup w mitrze na głowie, z pastorałem w ręku, przemówił wzruszająco do zebranych, których było około 3.000. Wyjaśniwszy znaczenie uroczystości, dostojny Pasterz podziękował uczestnikom za ich pobożne skupienie i gorące modlitwy i oddał serdeczny hołd pracy i poświęceniu niezmordowanych Braci Marystów. Wyraził także przekonanie, że Najświętsza Maria Panna macierzyńskim Swym sercem czuwa nad całą ludnością jego wikariatu, który nigdy nie zapomni tego „wielkiego dnia Marii".

Następnie podniósłszy ręce dla uproszenia błogosła-

wieństwa z nieba, przeżegnał trzykrotnie klęczące w pobożnym milczeniu rzesze.

To święto, zwłaszcza ta procesja z 12 grudnia 1937 r. to był prawdziwy triumf miłości i dziecięcego nabożeństwa do przedziwnej Matki Boga i ludzi. Sądzę, że przyjęła go z pełnym dobroci macierzyńskim uśmiechem i zachowała w sercu swym wszystko, co widziała i słyszała.

Oby za jej potężną przyczyną spłynął strumień najprzedniejszych łask na naszych chrześcijan i katechumenów, na naszych pogan w Uele i na dobroczyńców, którzy wspierają misje i podtrzymują nas tym samym w naszej pracy apostolskiej.

W intencji Dobroczyńców Sodalicji i Prenumeratorów „Echa z Afryki“ odprawiają Biskupi i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy świętych rocznie.

O szkołę

O. Zabdyr T. J., Chikuni.

Ciąg dalszy.

Na domiar złego do tych utrudzeń przyczepiły się do mnie ni stąd ni zowąd nowe strapienia, istne zmory, będące li tylko wynikiem przeforsowania organizmu: jak silny zawrót głowy i ciemność w oczach. Jasno, ale i z pewną zgrozą zacząłem sobie zdawać z tego sprawę, że teraz chodzi tu o „być albo nie być“, o moje „żyć lub paść i skończyć“ Rozumiałem to dobrze, że jeśli padnę, co łatwym było przy moim ogólnym ogromnym wyczerpaniu, to koniec ze mną.

Zanim bowiem mój czarny towarzysz, doszedłby do miejsca, gdzie zostawiliśmy auto i powrócił z wodą, ja umarłbym pewno z pragnienia.., Mogłyby też dzikie zwierzęta przyspieszyć mój koniec, lub hieny, bodaj na trupie użyć sobie. Takie i tym podobne myśli snuły mi się po głowie. Doświadczałem na sobie prawdy słów „nie wie człowiek dnia ani godziny.“

Wnet jednak odezwał się też we mnie z drugiej strony i duch męski, misjonarski, który uspokajał rozstrojone nerwy i wyobraźnię i kazał ofiarować Bogu te cierpienia, obudzać akty żalu, miłości, całkowitego zdania się na Bożą Wolę i Opatrzność.

Wtem nagle wątek moich myśli został przerwany przez bardzo żałosny płacz małego dziecka. Podniósłszy ze zdziwieniem oczy, zobaczyłem przed sobą nieliczną,



W wydrążonych dyniach noszą Murzynki wodę.

originalną grupkę istot ludzkich, składającą się z dwóch kobiet i małej dzieciny idącej na przedzie i rzewnie płaczącej. Widząc na głowach niewiast wydrążone dynie, w których zwykle Murzynki noszą wodę, już już miałem skoczyć i choćby przemocą zdobyć upragniony napój, ale dziecina owa, może czteroletnia, goluteńka, rzewnie płacząca, zatrzymała mnie w moich zapędach. Widok jej i myśl, że taka dziecina więcej jeszcze potrzebuje wody, bo nie jest tak wytrzymała, taką litość obudziły w moim sercu, że nie tylko nie zabrałem im wody, ale zdobyłem się na wielką ofiarną myśl w duszy: dziecino! ty żyj, niech ja raczej umrę. Że te niewiasty miały wodę w dyniach, o tym upewnił mnie potym mój towarzysz, ale miały jej widać nie wiele, bo przy spotkaniu na moje zapytanie o to przeraziły się bardzo, bojąc się utraty tak cennego trunku, jakim jest w Afryce woda zwłaszcza w czasie podróży przez bezwodne góry.

Słowa: „Idźcie, byście doszli szczęśliwie", używane przy rozstaniu się, były w obecnej chwili życzeniem dla mnie zupełnie aktualnym. Przyszło mi zaraz na myśl: tak, wy dojdziecie, jeśli nie do waszych domów, to przynajmniej do owej wioski; co do mnie, to nie wiem, co się stanie... Może to ostatni dzień dla mnie może już nie wyjdę z tych lasów, gór, może tu wypadnie mi zakończyć moją piel-

grzymkę... Nie wiem... nie wiem... Teraz rozpoczęła się dla mnie walka — że tak powiem — między życiem a śmiercią. Tak byłem zmęczony, że czułem, iż gdy padnę na ziemię, to już nie wstanę, już po mnie. Śmierć dziwnie blisko zdawała się być przy mnie, jakbym ją widział tuż o jakie 10, 20 kroków, wyciągającą kościstą swą rękę po ofiarę, czekającą tylko na mój upadek. Organizm jednak, jakby zdawał sobie sprawę ze sytuacji, rwał się i rwał, zdobywał się na ostateczne wysiłki.

Wtem radosna wieść. Mój towarzysz mówi, że niedaleko znajdziemy wodę, ot tu na równinie, bo zwykle po inne lata bywała. Otucha wstąpiła we mnie, nadzieja, że wymknę się z objęć śmierci mnie ożywiła. Dobiliśmy na rowerach do głębokiej dziury na łące, tuż tuż przy strumyku. Niestety, ach niestety rozczarowanie ! : „*Wunyina*, nie ma wody !“ Masz, nie ma wody !... zawsze bywała !... a teraz jej nie ma dla nas tak spragnionych ! ! Siląc się na nowy ostateczny wysiłek, ujęliśmy rowery w ręce i dalej z nimi w górę. Nie była ona stroma wprawdzie, ale stale wznosząca się coraz to wyżej. Trudno było wsiąść na rower tak przez wzgląd na teren jak i na zapadający ciemny wieczór, rozjaśniony tylko gwiazdami, bo księżyca nie było. Byłem całkowicie na łasce czarnego przewodnika. Podziwiałem, jak on może wiedzieć, gdzie tu iść, gdy ścieżki żadnej nie było, a do tego ciemno. Pomyślałem sobie znów: jak on tu nie zabłądzi, może umknę śmierci, jak zabłądzi — po mnie. Oczywiście nie mówiliśmy nic do siebie. Od czasu do czasu tylko ja przerywałem milczenie pytaniem: jak daleko jeszcze? Tak pragnąłem usłyszeć odpowiedź: już niedaleko, a tu stale słyszę: jeszcze dość daleko: *mufundisi* (ojcze). Już i modlitwa, myśl o Bogu, Matce Najświętszej trudno mi przychodziła i męczyła mnie. Czułem się rozstrojony, jakby zły, zdenerwowany. Wreszcie w tym zakłóceniu sił duchowych i fizycznych usłyszałem słowa przewodnika: *mufundisi* już niedaleko, jesteśmy na górze, a tam na dole nasz automobil.

(Dokończenie nastąpi)

Wiadomości ze św. Kongregacji Rozkrzewienia Wiary

Okręg obejmujący wyspy: Nossi-be, Majotte i Komorskie otrzymał nazwę prefektury apostolskiej **Ambaja** (Madagaskar).

O. Wall ze Zgromadzenia Misyjnego z Mill-Hill został mianowany prefektem apostolskim Kodoku (Sudan ang.-egipski).

O. Ludwik Haag, ojciec biały, został mianowany prefektem apostolskim Tukuyu (Tanganika).

O. Horst, ojciec biały, został mianowany wikariuszem apostolskim Lwanga (Rodezja północna).

Czarna lilijka

Siostra Maria Teresa ze Zgrom. N. M. P. z Kilimandżaro

Opow. Siostra M. Felicjana od Przenajdr. Krwi.



Mante była córką znakomitego Liombe, doradcy potężnego księcia murzyńskiego Sianga w krainie Kiboscho. Liombe był bogaty, posiadał kilka żon i wielkie trzody. Murzyni bardzo go się obawiali, bo znany był ze swej surowości.

Mante była ulubienicą ojca. Wierny obraz matki — odznaczała się wielką urodą i była wysokiego wzrostu. Stosownie do zwyczajów miejscowych, musiała pasać trzody ojca.

Miała z tych czasów dużo wspomnień i często mi je opowiadała.

— Gdy tak samotna — mówiła — długie godziny pędziłam wśród stepów, czuwając nad trzodami ojca, zastanawiałam się nad wielu rzeczami. Gdy przy wschodzącym słońcu góra Kibo zdawała się tonąć w złocistym blasku, oglądałam się za tajemniczą istotą, która była źródłem i sprawcą tego otaczającego mnie piękna. Gdy liście bananowe kołysały się w tę i w ową stronę, szukałam ręki, która je w ruch wprawiała. Wstrzymywałam oddech, aby nie spłoszyć Wielkiego Ducha, tak żywo czułam jego bliskość. Dziwne cykanie świerszczy, melodyjny śpiew ptasząt, słodka woń kwiatów i traw, coraz to inne barwy, jakie przybierały góry w miarę zmiany pogody — wszystko to wywierało na mnie niesłychane wrażenie. Gdy poprzez spalony od skwarnych promieni słońca step doszłam do rzeki, aby zaczerpnąć wody i zażywałam chłodu w cieniu nadbrzeżnych drzew, rozglądałam się po krzakach i zaroślach za Wielkim Duchem. A że nie znajdowałam go na ziemi, wpatrywałam się w niebo i myślałam sobie, że białe puszyste obłoczki to jego szata, a duże płynące chmury to wóz, na którym zjeżdża z nieba na ziemię, gdzie musi mieć swoją siedzibę. Takie i tym podobne myśli snuły mi się po głowie, gdy pasłam trzody mego ojca. Bo modlić się jeszcze wówczas nie umiałam.

Bóg miłosierny, którego ta pogańska dzieweczka tak szukała, dał się jej znaleźć. Przyprowadził ją do naszej misji. Z jakim uniesieniem słuchała Mante, gdy jej objaśniano prawdy chrześcijańskie, a już ze szczegól-

nym upodobaniem lubiła rozważać przymioty Boskie: Bożą wszechmoc i mądrość, Jego wszechwiedzę i wszechobecność, sprawiedliwość i wierność, Boże miłosierdzie i miłość ku wszystkim ludziom. Zaczęła też pilnie usuwać wszelkie chwasty ze swego serca, bo z winy pogańskiego wychowania, tkwiło w nim sporo złych skłonności i zabobonów.

Gdy Mante miała lat dwanaście czy też trzynaście, stała się przez chrzest św. dzieckiem Boga i otrzymała imię Zofia. Z wielkiej radości oczy jej jaśniały jak dwie gwiazdy. Z roku na rok starała się być coraz lepszą, aż zdobyła cnotę panowania nad sobą w każdym położeniu. Dużo i długo modliła się o tę łaskę i niejeden dzień przepościła w tej intencji.

Odkąd przebywała w misji, ojciec i reszta krewnych nie byli już dla niej tak serdeczni jak dawniej; jako jedyna chrześcijanka w rodzinie narażona była przy zetknięciu się z nimi na niejedną przykrość i przymówkę. Zofia znosiła to wszystko cierpliwie. Jej pragnieniem i dążeniem było, aby i jej najbliżsi z czasem poznali i pokochali Boga. Po komunii św. klęczała długo bez ruchu z przymkniętymi oczyma i nie mogła się dość nadziwić, że ten potężny Król nieba i ziemi przyszedł zamieszkać w jej maleńkim sercu. Rozmawiała z Nim ufnie jak dziecko z ojcem i wpatrywała się w głębię Jego najświętszego Serca.

Niebawem zrodziło się w niej pragnienie oddania się Bogu całkowicie i Mante postanowiła nie zgodzić się na projektowane przez ojca małżeństwo. Gdy ojciec dowiedział się o tym, zaczął z wściekłością ostrzyć swój nóż i pognał w stronę misji. Zofia dostrzegła go jednak dość wcześnie i schowała się do szafy. Kazała się zamknąć i wyjąć klucz, bo znała niepohamowaną gwałtowność swego ojca. Gdyby ją był znalazł, byłby ją niewątpliwie przebił na śmierć. Kiedy zamiast narzeczonego misja zapłaciła zwykły okup za Zofię, ojciec zadowolony tym dał odtąd córce pokój.

Zofii było bardzo przykro, że uboga misja tyle za nią musiała zapłacić. Chciała koniecznie ten dług wyrównać. Wstawała o świcie, aby obrobić pole pod kartofle. Na odłogiem leżącym i dawniej jałowym gruncie doczekała się dzięki pilnym swym staraniom obfitego plonu. A że kartofle europejskie wówczas płacono bardzo dobrze, Zofia z tego dochodu zwolna uiściła całą sumę.

Zofia miała wielkie nabożeństwo do św. Józefa i nieraz z tego, co uzyskała za wyhodowane kartofle dawała na

msze św. ku jego czci. Nie spoczęła, póki modlitwa do siedmiu radości i siedmiu boleści św. Józefa nie została przetłumaczona na język miejscowy i odtąd odmawiała ją codziennie. Za pozwoleniem przełożonego misji wolno jej było co środę po mszy św. odmawiać ją głośno w kościele.

Jakiś czas wyglądała bardzo niedobrze, więc przynosiłam jej raz po raz wieczorem do łóżka jakiś posiłek na wzmocnienie. Czasem zastawałam ją śpiącą — różaniec miała wtedy owinięty około rąk i krzyżyk przy ustach.

Dzielna dzieweczka była dla naszej misji prawdziwie aniołem pokoju. W zręczny sposób potrafiła łagodzić swary między dziećmi. A jakie usługi oddawała nam przy nauczaniu podeszłych wiekiem wychowanek! Rzucała w ich dusze zarzewie miłości Bożej i umiała je rozpalić. Gdy która chciała ulec pokusie i uciec z misji, potrafiła wrodzoną sobie powagą naprowadzić ją z powrotem na dobrą drogę. Perswadowała, że dla Boga trzeba wyrzec się pogańskich zwyczajów, a nieraz i jakąś drobną przyjemność złożyć mu w ofierze. Każda obraza Boga przejmowała ją głębokim smutkiem, co żywo malowało się na jej wyrazistej twarzy.

Jakoś pod tę porę umarł Liombe, ojciec Mante. Bogu samemu tylko wiadomo, ile gorących modłów wysłała do nieba, aby wyprosić zbawienie tej drogiej duszy. Ojciec tak złagodniał pod koniec i tak się zmienił, że mógł otrzymać chrzest św. Zofia była przy tym akcie obecna — za jej sprawą dano ojcu imię oblubieńca N. Marii Panny. Po śmierci ojca matka Zofii zgłosiła się także do nas na naukę katechizmu.

Następnie wybuchła wojna światowa i wypędziła Siostry z misji. Zofia postanowiła utrzymać w porządku wszystko, co Siostry zbudowały i założyły i udało jej się to

Czarne postulantki.



w zupełności. Gdy po pięciu latach można było wrócić, sądziłyśmy, że zastaniemy wszystko zniszczone i podupadłe. Tym czasem czekał nas po naszym długim wygnaniu prawdziwy mały raj.

Niestety, wkrótce stwierdziłyśmy u Zofii bardzo niedobrą, przewlekłą chorobę. Zdaje się, że przeliczyła się ze swymi siłami i zbyt ciężka praca podkopała jej zdrowie. Odtąd już mogła spełniać tylko lżejsze posługi.

Gdy Zofia miała później wraz z sześciu swymi towarzyszkami przenieść się do Huruma do nowo pobudowanego nowicjatu, okazało się najlepiej, jak bardzo ludność miejscowa ceniła te siostrzyczki zakonne. Ze wszystkich stron protestowano przeciw ich odejściu, nawet poganie starali się je zatrzymać.

Gdy w Huruma sprzątnięto pierwsze bardzo obfite plony, Zofia była uradowana i mówiła: „Teraz mogę spokojnie opuścić tę ziemie. Siostry są zaopatrzone i nie zginą z głodu.“ Cała jej tęsknota była odtąd skierowana ku oczekiwanej z upragnieniem profesji i ku śmierci. „Jeżeli sklepienie niebieskie usiane gwiazdami już z zewnątrz jest tak piękne, jak tam cudnie musi być dopiero w środku“, mówiła z uśmiechem. Przy składaniu ślubów prosiła o imię Maria Teresa z wielkiej czci ku matce Murzynów, Słudze Bożej Marii Teresie Ledóchowskiej. Bardzo pragnęła zjednoczyć się już na zawsze z ukochanym Zbawicielem, a także zobaczyć tam w górze matkę Afryki.

Bogu, Kościołowi i misji służyła wiernie aż do grobu. Z westchnieniem miłości uleciała jej dusza do swego Stwórcy. Ostatnim jej słowem było: Jezus. Zdążyła wypowiedzieć to Imię najświętsze tylko do połowy — dokończyła go już w zaświatach...

Dziękuję Bogu Najwyższemu, że danym mi było przyczynić się do założenia dziś pięknie już kwitnącego zgromadzenia N. M. Panny z Kilimandżaro. Ufam, że Matka Murzynów pospołu z tą zakonnicą, która jej imię sobie obrała, będą z nieba czuwały nad tym dziełem i wstawiały się za nim u Bożego tronu.

INTENCJA MISYJNA APOSTOLSTWA MODLITWY NA MIESIĄC MAJ :

Wzrost powołań misyjnych wśród katolików angielskich.

Z roczną daniną cierpień za misje



(Na Uroczystość Zesł. Ducha św.)

Prędzej czy później przystępuje prawie że do każdego człowieka choroba. Wyrywa go z pracy bez wytchnienia, z wesołej działalności w kółku rodzinnym, zamyka w czterech ścianach izdebki lub przenosi na ogromną salę szpitalną, umieszczając go na jednym z długiego szeregu łóżek.

Cierpienie, wysoka gorączka, noce bezsenne stają się wtedy nieodstępnymi towarzyszami. Gorzej jednak niż cierpienia, słabość i potrzeba obcej pomocy dokucza i przygnębia przymusowa bezczynność. Chcieć pracować i nie móc pracować, to krzyż ciężki, szczególnie, gdy go trzeba dźwigać całe lata.

Czyż naprawdę nie ma pracy dla chorych i cierpiących? Czyż oni dla społeczeństwa, dla ludzkości zupełnie nie użyteczni?

Chrystus — Boski nasz Mistrz i Wzór — cierpieniem zbawił świat !

O gdyby tak wszystkie cierpienia po wszystkich szpitalnych salach i w cichych samotnych izdebkach były znoszone po chrześcijańsku, co za potężna fala siły z cierpienia i łaski zalałaby wtedy cały świat.

Cierpieć z Chrystusem po apostolsku! Łączyć się na swoim krzyżu z Chrystusem ukrzyżowanym, ofiarowując ból swój za grzeszników, za pogan. Trzeba by o tym więcej przypominać po szpitalach i zachęcać do takiej św. pracy.

Boć jeżeli cierpienie posiada siłę apostolską, jeżeli można cierpieniem użyźnić apostolstwo, to dlaczegoż wykluczać zeń dzieło największe i najpierwsze — współpracę nad szerzeniem Królestwa Bożego w krajach pogańskich?

Zewnętrznie bezczynny, bezwładny — wewnętrznie może czynniejszy od zdrowego misjonarza hen w Afryce — czyż to nie pocieszająca myśl?

Zmobilizujmy te cenne „siły robocze“ teraz szczególnie w tych czasach kryzysu, odbijającego się dotkliwie na rozwoju misji. Duchowe wartości w walce o dusze mają stokroć większą siłę i znaczenie.

Może jesteśmy *milionerami* cierpień? Z naszego skarbca szeroką ręką dajmy w dzień Zielonych Świątek — na misje !



Nędznie sklecony mostek.

Zbłąkany w afrykańskiej puszczy

(Dokończenie)

O. Henryk Baurmann, Ojciec Biały z Irambo, Tukuyu.

CHRZEŚCIJANIE KATOLICY Z RADOŚCIĄ WPROWADZAJĄ SWEGO OJCA.

Było już koło g. 3 po południu, gdy oświadczyłem stanowczo mojemu przewodnikowi, że o własnych siłach absolutnie do Gua nie dojdę. Po długim przekonywaniu nakłoniłem go wreszcie, ażeby posłał synów do Gua po pomoc, a sami mieliśmy iść powolutku, noga za nogą naprzód. Po jakich dwóch godzinach dotarliśmy do potoka. Tutaj zatrzymaliśmy się, ażeby ugasić pragnienie i na moment odpocząć. Z trudem przeprowadził mnie następnie Murzyn przez nędznie sklecony mostek, przez który sam nigdy bym był nie przeszedł. Koło 7 g. siły opuściły mnie zupełnie. Krótko i węzłowato powiedziałem więc, że dalej nie pójdę i tutaj będę czekał na pomoc z Gua. Czarny nie sprzeciwiał się temu, ponieważ sam widział, że nie ma innego wyjścia. Znużony położyłem się na ziemi, ażeby nieco przyjść do siebie. Leżałem może z godzinę, gdy w oddali dały się słyszeć ludzkie głosy. Byli to ludzie z Gua.

Co się tym czasem działo w Gua? Bracia Ubald i Bertold mimo najgorszych warunków dostali się tam wprawdzie we środę przed wieczorem, ale jedynie dlatego, że zostawili część ładunku w lesie. Jakież jednak było ich przerażenie, gdy mnie tam nie znaleźli i nikt o mnie nic nie wiedział.

Jeszcze tej samej nocy rozpoczęto poszukiwania. Murzynów, mieszkających w sąsiedztwie misji, rozesłano na wszystkie strony, ażeby przeszukali okoliczne lasy. Jednakże daremnie! Nazajutrz rozesłano gońców do bliższych i dalszych wiosek, ażeby pomogły w poszukiwaniach. Zwrócono się też z prośbą o pomoc do sąsiednich sułtanów i wyznaczono nagrodę dla tego, kto odnajdzie zaginionego. Setki ludzi, chrześcijan i pogan, wyruszyło na poszukiwania. Bito w bębny i strzelano ze strzelb, ażeby zbłąkanemu

wskazać drogę — wszystko na nic! Ojcowie i Bracia na równi z innymi brali udział w wyprawie, ale nikomu nie udało się wpaść na trop. Dopiero w sobotę koło g. 5 po południu nadeszła upragniona wiadomość, przyniesiona przez chłopaków murzyńskich, synów mojego przewodnika. Natychmiast zorganizowano wyprawę ratunkową zaopatrzoną w żywność i nosze, celem przyniesienia odnalezionego na misję. Na czele wyprawy stanął brat Bertold. Tym czasem wieść o znalezieniu Ojca rozeszła się momentalnie po okolicy, wywołując wszędzie radość nie do opisania.

Było już dobrze po ósmej, kiedy pierwsi Murzyni ze środkami żywności dotarli do miejsca, gdzie spoczywałem. Poczciwi ludziska poklękali naokoło, całowali moje ręce i nogi i wśród radosnych gratulacji podawali mi przyniesione potrawy. Na razie byłem za słaby, ażeby odczuć w całej pełni piękno tej chwili, dopiero później, kiedy już zupełnie przyszedłem do siebie i pamięcią odtwarzałem przeżyte wypadki, uświadomiłem sobie wszystko doskonale. Teraz, posiliwszy się coś niecoś, czekałem na resztę wyprawy, która nadciągnęła dopiero koło 9 g. Ułożono mnie na noszach i okryto dobrze kocami, następnie czterech Murzynów wzięło na ramiona improwizowaną lektykę i cały pochód ruszył w powrotną drogę. Co jakiś czas zmieniali się niosący mnie Murzyni, ponieważ każdy chciał dostąpić tego zaszczytu. Ścieżka prowadziła w dalszym ciągu przez gęsty las. I teraz trafiały się jeszcze miejsca trudne do przeprawy, tak że trzeba było przenosić lektykę z całą ostrożnością, ale Murzyni czynili to nad podziw zręcznie, a przy tym nie przestawali śpiewać. Mniej więcej koło 11 g. zbliżyliśmy się wreszcie do Gua. Zaraz przy pierwszych zabudowaniach wioski stały mimo późnej nocy po obu stronach drogi tłumy ludu, starców, kobiet, mężczyzn i dzieci. Wszyscy chcieli powitać zbliżającego się misjonarza. Głos bębnów i huk strzałów mieszał się z klaskaniem w ręce i okrzykami radości. Jedni cisnęli się do nosz, inni biegli po bokach. Z każdą chwilą orszak powiększał się coraz bardziej, aż wreszcie krótko przed północą dotarł do misji.

KTO MIŁOŚĆ SIEJE, MIŁOŚĆ ZBIERA.

Cały duży plac przed misją wypełnił się szczelnie ludźmi, tak że Czarni niosący nosze tylko z trudem mogli się przecisnąć ku bramie domu. Kiedy wreszcie stanęli u celu i znużony misjonarz powstał z trudem z nosz, okrzykom radości nie było końca. Przy pomocy braci, którzy się tyle o mnie natrapili, wszedłem do domu i położyłem się do łóż-

ka. Na dworze hałas nie ustawał. Ludziska cisnęli się do drzwi, klękali, klaskali w dłonie i wznosili okrzyki. Z wielkim trudem udało się wreszcie O. Superiorowi, grubo już po północy, wytłumaczyć zebranym, że Ojciec jest ogromnie zmęczony i potrzebuje spoczynku. Jeżeli chcą go koniecznie zobaczyć, to go zobaczą jutro po sumie.

Tak się też stało. Z ogromnym wysiłkiem odprawiłem w niedzielę rano mszę św na podziękowanie P. Bogu za cudowne niemal ocalenie, a następnie musiałem przyjmować cisnących się do mnie Murzynów, którzy koniecznie chcieli mnie widzieć i złożyć mi życzenia. Na sumie kościół był tak nabity, jak w największe święta. Nie tylko katolicy, ale i poganie zeszli się tak tłumnie, ażeby zobaczyć uratowanego Ojca i wyrazić swoją radość, jako też złożyć dzięki P. Bogu za okazaną opiekę. Ruch na misji trwał tego dnia do późnej nocy.

Współbracia z Gua twierdzili, że jeszcze żaden misjonarz nie miał takiego triumfalnego pochodu, jak biedny autor tego opowiadania. Ja zaś sam, ile razy przypominam sobie niedawne przeżycia, tyle razy dziękuję P. Bogu, który w swej mądrości i dobroci kieruje losem każdego człowieka i nie opuszcza swoich sług nawet w największych niebezpieczeństwach, ale przeciwnie, tym bliżej jest człowieka, im dalej jest pomoc ludzka.

I jeszcze jedno! Podziw mnie ogarnia na widok, jaką miłość i zaufanie u Murzynów umieli sobie zaskarbić Ojcowie z Gua, że ci tyle życzliwego zainteresowania okazali zupełnie im nieznanemu misjonarzowi!

Oby Bóg najłaskawszy raczył za to jak najwięcej pogan z Gua przywieść do poznania prawdy! — Z takim życzeniem opuściłem po kilku dniach Gua.

Obecnie wszystko już jest w porządku. Przeżyte przygody nie odbiły się wcale na moim zdrowiu. W powrotnej drodze wstąpiłem do lekarza, który mnie gruntownie zbadał i zapisał mi jakieś lekarstwo na wygojenie nóg. Po powrocie do domu wypocząłem zupełnie przez kilka dni, potem chodziłem przez jakieś dwa tygodnie o lasce, a wreszcie przeszło wszystko bez śladu. (Z "Afrikabote")

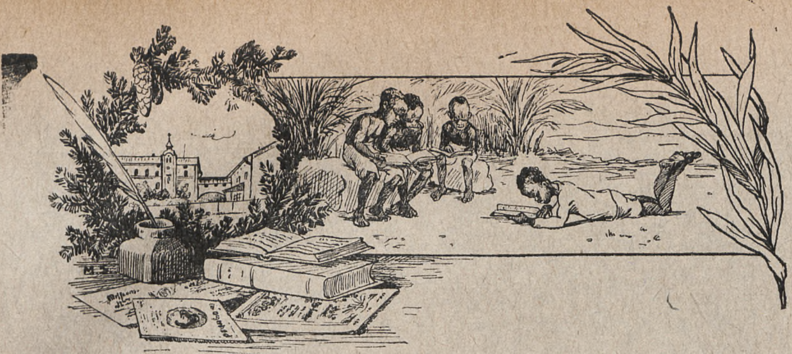
ODPUST ZUPEŁNY, którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera:

1 maja, w dzień św. Filipa i Jakuba, apostołów.
28 maja w uroczystość Zesłania Ducha świętego.

Za pozwoleniem Władzy duchownej. L. 1929. Przemyśl 14 IV 1939.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.

Zakład, miejsce odbicia, wydawca i miejsce wydania: Sodalicja św. Piotra Klawera w Krośnie. Nakł. 8.300



Znaczenie afrykańskiej prasy

„Dzięki częstym a hojnym zasiłkom ze strony Sodalicji św. Piotra Klawera mogli nasi misjonarze rozszerzyć znacznie zakres działalności i zapewnić swej pracy większą wydajność. To też nic dziwnego, że pomyślne skutki nie dały na siebie długo czekać. Tysiące egzemplarzy książek do nabożeństwa i historii biblijnej, wydanych zeszłego roku kosztem Sodalicji, przyczyniły się niezmiernie do ożywienia w sercach biednych Czarnych nadziei lepszej przyszłości i sprawiły, że w samym sercu Afryki zabłysło światło naszej świętej wiary. Wszyscy misjonarze, wierni i katechumeni modlą się codziennie. ażeby Bóg najdobrotliwszy obsypał swoimi łaskami wszystkich członków i dobrodziejów Związku Prasy afrykańskiej."

O. René Keto, ze Zgrom. Premonstratenzów. pierwszy przełożony wikariatu apost. Buta.

Kilka razy obiła się już o moje uszy wzmianka o „Prasie Afrykańskiej". Prawdę mówiąc, nie mam jasnego pojęcia, co to jest. Proszę o kilka słów wyjaśnienia.

Bardzo chętnie! Samo pojęcie prasy jest powszechnie znane. Mówi się n. p. o prasie codziennej i wtedy ma się na myśli dzienniki; mówi się też o prasie katolickiej i wtedy rozróżnia się dzienniki, i czasopisma według ich nastawienia religijnego. Pojęcie dobrej lub złej prasy obejmuje także książki, zależnie od ich dobrej lub złej treści. Pojęcie zaś „Prasy Afrykańskiej" obejmuje to wszystko, co się drukuje w językach afrykańskich i dla Afryki, a więc dzienniki, czasopisma i książki, bez względu na to, czy je drukowano w Afryce czy w innych krajach. Istnieje również specjalny Związek Prasy Afrykańskiej w łonie Sodalicji św. Piotra Klawera, którego celem jest popieranie na wszelki sposób wydawnictwa książek i druków w językach afrykańskich. Można do tego celu dążyć dwiema drogami: mianowicie można albo pomagać poszczególnym okręgom misyjnym do nabycia własnych drukarni, albo drukować książki w innych częściach świata i gotowe wysyłać do Afryki. Wkładki członków tego związku obraca się wyłącznie na jeden z tych dwóch celów. Zwyczajni członkowie wpłacają rocznie 5 zł., dożywotni 200 zł. jednorazowo.

Ku czci Niepokalanej Dziewicy złóżmy w maju ofiarę na książki dla Murzynów; wpiszmy się na członka Związku Prasy Afrykańskiej!



Seminarium duchowne w Nyegeri nad jeziorem Wiktoria.